



MICHAŁ CHOROMAŃSKI

Miłosny
atlas
anatomiczny

Michał Choromański

MIŁOSNY ATLAS ANATOMICZNY

[Wydawnictwo Estymator](#)

Warszawa 2021

ISBN: 978-83-67021-04-3

Copyright © Michał Choromański

Tekst: Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1974

Projekt okładki: Marcin Labus

Obraz na okładce: Anders Zorn „Ubierająca się kobieta” (1893)

Przypisy umieszczono w nawiasach kwadratowych

Doświadczenie mnie nauczyło, że więcej jest na świecie prawdziwych nieprawdopodobieństw aniżeli prawdziwych prawdopodobieństw.

Casanova

Bo ci, co rozśmieszają ludzi, cenniejsi są od tych, co każą im płakać.

Chaplin

We Lwowie było kanoniczek kilka, ale „kanoniczką” out court była tylko baronowa Marta Hagen. Bardzo wesola (...) nie obrażała się nigdy, nawet wtedy gdy żarty szły trochę za daleko. Odgryzała się i słowem, i żywym zawsze gestem, a prawdziwie ro zgniewaną widziałem ją raz tylko, gdy Józef Wiktor przedstawił jej niedawno przybyłego z Wiednia, bardzo pięknego i zdobywczego rotmistrza.

– Chanoinesse, le comte Huyn.

Kanoniczka zerwała się czerwona z gniewu.

– Vous savez que j'aime la plaisanterie mais celle-là va par trop loin! (Pan dobrze wie, że lubię żarty, ale te sięgają zbyt daleko!)

Czyżby Józef Wiktor skrócił i tak dość już krótkie nazwisko? Nie wiem. Najmniej jednak zdawał się rozumieć sytuację hr. Huyn.

M. Rosko-Bogdanowicz *Wspomnienia*

Spis treści

CZEŚĆ PIERWSZA

Kilka kolorowych plansz miłosnego (i obyczajowego) atlasu miłosnego czyli pierwsze śniadanie (le petit déjeuner)

Dalszy ciąg i znowu od początku czyli od 22 do 29 sierpnia

Aneks

CZEŚĆ DRUGA

Dalsze wypadki

Kilka dodatkowych barwnych klisz i ilustracji. Das zweite Tischgespräch

Dwie śmierci

CZEŚĆ TRZECIA

Militaria

Okupacja

CZEŚĆ PIERWSZA

Genitalia, przepraszam. Mamże rozpocząć od nich? – A czemuż by nie? – powiesz – wielkie mi rzeczy, kto tego dobrego nie ma! – Wolę jednak inaczej. Zacznę od powinięcia się mej nogi, czyli od pewnego bezwstydu dnia, kiedy to otrzymałem pewien anonim. Chyba że... – Co? – Może to jakoś połączyć? bo naprawdę jedno z drugim prawie się zlewa samo i już nie wiadomo, gdzie moja noga, gdzie pełen moralnego bezwstydu dzień, a gdzie co innego, anatomicznego.

A zatem noga. To tylko, mówiąc miękko, ona mi się powinęła. Było to tak.

Czy widziałas kiedy gałęzie, co to wyszukane starannie w lesie, udają, że są rzeźbą? W tej skromnej sztuce celują podobno zacne kierowniczkę obozów dla niedorostków bądź harcerzy. – Hop, hop, druhnny! – rozlega się klaskanie w dłonie – szperajcie w trawie, zadrzyjcie no główki i przyjrzyjcie się dobrze chruścinie. Trochę, trochę wytyście wzrok, a już z pewnością będziecie miały jakąś figurynkę. Hop, hop, tutaj! Wleź, kochanie, na konar, nie, na prawo, cokolwiek powyżej, o! A teraz odłam korę, masz, masz, tak! Czy nie przypomina ci ona czyjeś włochatej rączki z rozcapierzonymi palcami?

Pocziwa wychowawczyni nagle milknie, jakby o coś potknęła się, a oczy jej ni stąd, ni zowąd przysłania wilgotna, siwa mgiełka sentymentalnego błogostanu, bo oto w poznoszonym przez dzierlatki chruście dostrzegła drogi kształt...

Rzeźba przypadku, swoista zabawa przyrody! Zdaje się, że ma to obecnie swoją nazwę i uchodzi poniekąd za artyzm. Natomiast w okresie, gdy powinęła mi się noga (i gdy się ona powinęła Adolfowi Hitlerowi), nikt jeszcze o czymś podobnym nie słyszał i nie marzył. Z wyjątkiem pani Nity.

O, cóż to była za kobieta! O niepokojąco i zbyt podkrążonych oczach, stale zmieniająca jednego męża na drugiego, była jakby samą wyjątkowością, niemal bezgraniczną a rozpustną inwencją! Zaś na dobitkę zdołała i mnie wciągnąć do wyjątków.

Pani Nita Wielodębska. De domo baronówna Łajba. Słynne nazwisko o herbie, w którym wydymały się żagle i pruł fale średniowieczny statek, było nieodmienne, ale nieodmienne tylko w stosunku do córek. Każdy dostrzegał w tym karmazynowy polor. Mówiło się: baronowej Łajbowej, o Łajbach, Łajbowi, ale o córkach, choćby właśnie o Nicie, która będąc małą dziewczynką z warkoczykami tak zajadle zadawała sobie gwałt po nocach, nie mówiło się nigdy: Łajbównie, a zawsze: baronównie Łajba.

To samo z jej siostrą, Norii, która pozostała starą panną i do niedawna miała zwyczaj asystowania po męsku młodym niewiastom, szczególnie blondynkom o bardzo grubych wargach. Chodząc z nimi po sklepach, dźwigała ich pakunki niczym fatygant. Częstokroć wzdychała, że nie mieszka na wyspie Lesbos. Do niej też zwracano się: baronówna Łajba.

Ale wróćmy do czegoś innego. Do pełnego bezwstydu, a wcale nie zarumienionego z tego powodu dnia, kiedy otrzymałem wspomniany anonim... Omalże otumaniony nienasyceniem zmysłowym – bo myślałem o niedostępnej Nicie – siedziałem dość gnuśnie w bocznej alejce naszego parku.

Zaś drzewa i gałęzie wokoło wyczyniały same niegodziwości. Zwłaszcza – patrz, patrz, druhnno! – rozwydrzeniem odznaczał się pewien wiąz z nadłamanym, wzniesionym do góry sękiem i czerniejącą, jak wąska szczelina dziuplą, która jakby przyglądała mu się z odpowiednią zdrożnością. Twórca *Satiriconu*, Petroniusz – a jeden z braci Nity przetłumaczył go bez żadnych skrótów (!) na polski, mimo że nie było w kraju wydawcy, który by się odważył tę nieprzyzwoitą perłę literacką wydać [Chodzi tu o zachowany fragment *Satiriconu*, *Ucztę Trymalchiona* (przyp. red.)] – a więc Petroniusz czułby się tu jak u siebie w domu. Bo co za przepych sprośności doprawdy!

Jednakże zamiast Petroniusza zauważył mnie z pobliskiego trotuaru listonosz. Ominawszy rabaty z jesiennymi kwiatami oraz kasztan o rozłożystych jak objęcia konarach, podszedł z niebieską kopertą w rękę.

– Do pana list.

– Do mnie??

Od razu przestałem ziewać i doszukiwać się w drzewach niedozwolonych z punktu widzenia ładu publicznego i cenzury moralnej póż i pozycyj, niejako akrobatyki seksualnej. Nie wiem, czy wytłumaczyłem dość wyraźnie, kto mnie nauczył w ten sposób gapić się na wiązy, dąbki lub graby. W każdym razie poproszę miłą czytelniczkę – jako że piszę przede wszystkim dla pań – o chwilę cierpliwości.

Nie mogłem ochłonąć ze zdziwienia. Bądź co bądź było to wydarzeniem: otrzymywałem listy cholernie rzadko. Ale ewenement okazał się jeszcze większym, niż przypuszczałem.

Pismo wydało mi się nieznajome, a nawet jakieś kulfonowate. *JWPan Bohdan Miarowiej, z listami WPaństwa barstwa Łajbów, ul. Kopernika 9.* Oraz nazwa miasta. Wewnątrz zaś znalazłem, co następuje:

Pieniądze znajdują się pod fotografiami w kasecie z inkrustacjami na kominku. A chyba domyślasz się, skąd te banknoty pochodzą? Bęcwał, co? Weź na razie połowę i schowaj. Najlepiej zakop w ogrodzie. Nie potrzebuję się podpisywać, bo nic ci to nie powie.

Pomyślałem, że to żart. Potem pomyślałem: zresztą kicham na to. Chodzi o fakty. A było faktem, że trzeciego męża pani Nity, niejakiego Fila Wielodębskiego, nie dalej jak tydzień temu okradziono. I to nie z własnych, a z cudzych pieniędzy. Więc zdanie: „domyślasz się, skąd banknoty pochodzą”, nasuwało niektóre myśli. Niestosowne i przedziwne, gdyby nie chodziło o ród Łajbów. „Czyżby, czyżby aż tak!” Matoże mnie nie zatkało.

Wstałem z ławki i wciąż tą samą alejką podążyłem w kierunku domu. Po drodze, proszę czytelniczki, wrzuciłem do kosza ze śmieciami kopertę. Zgoła nieroztropnie, bo nie przyjrzałem się nawet pieczęcie, skąd list nadano. Pamiętam, iż zacząłem się spieszyć i doszedłem do Kopernika nieco zdyszany. Zadzwoiłem do frontowych drzwi, a kiedy otworzyła mi służąca, zapytałem jeszcze głupiej i nieroztropniej:

– A jak się miewa pan Filip?

Do licha, proszę czytelniczki. Dzisiejszego rana Fili Wielodębski, to znaczy trzeci mąż Nity, wstał już z łóżka i nawet ze mną rozmawiał na korytarzu. Co chwila zdrową ręką podchwytywał swą rękę sparaliżowaną, boby inaczej kiwała mu się bezwładnie wzdłuż uda. Służąca widziała nas razem. A zatem po co, po co było się o niego pytać? Nie wiem już, co mi odrzekła.

W ogóle było z niej słodkie a wredne bydlę w czarnej sukience i w białych koronkach. I niemal zawsze szedł od niej zapach, jeśli nie czad, damskich kremów toaletowych oraz nasienia diabelskiego, nie wiem, jak się poprawnie wyrazić – słowem, pachniała wonną mieszanką ciałek nasiennych, lecytyny oraz tak zwanych kryształków Bottchera. Naturalnie czytelniczka niekoniecznie musi się w mych opisach połapać, ale bez trudu znajdzie znajomą przyrodniczkę bądź lekarkę, która jej otworzy oczy. A ręczę, że warto. Dlaczego zdaniem moim służąca tak pachniała, to już inna sprawa i w to na razie nie wchodzimy.

Nie spojrzełem na nią. Odczekałem, aż się wycofa do kuchni. Zamiast do swego pokoju, wstąpiłem wprost do salonu. O tej porze bywał pusty. Nie działający kominek – bo jakoś nie przypominam sobie, aby kiedykolwiek na nim palono – znajdował się w głębi. Na jego marmurowym blacie stał pod szklanym kloszem antyczny zegar, para srebrnych świeczników oraz wielka szkatuła z intarsjami, w której pełno było fotografii amatorskich, bezwartościowych znaczków i starych kwitów. Nigdy do tego pudła nie zaglądano.

Uniosłem wieczko. Wraz z tym serce okropnie mi załomotało. Sądzę, że to nikogo nie zdziwi. Już już a nogi poczęły się pode mną chwiać, aż oto całkiem się ugięły. Pod fotografiami i wszelakim śmieciem rzeczywiście namacałem cały plik banknotów. Nie czułem nic. A tym bardziej żadnego wstydu. „Nie ma głupich, ażebym zabrał połowę, o nie!” – pomyślałem. Wyjąłem tylko dwie nowiutkie setki i schowałem je do kieszonki marynarki na piersi. Zamknąłem szkatułę.

Dziwne. Naprawdę wyglądało na to, że Filip Wielodębski, bankowiec i snobistyczny zięć starych Łajbów, był bęcwałem, jeśli nie dupiskiem. To, to, to! Rzekomo nawet na wpół sparaliżowanym.

Nie wykropkowałem tego wyrazu na d, mimo że co do swego słownictwa jestem raczej powściągliwy. Nie wykropkowałem, moja droga, boć zależy mi na dotrzymaniu kroku ludzkości. Tak jest, właśnie. Skoro obecnie następuje gwałtowne zrównanie się płci, wyrażające się w tym, że panowie i panie chórem i ze smakiem rozprawiają o pośladkach, to i ja nie chcę być gorszym, nie chcę, aby czytelniczka pomyślała, że nie potrafię się na taki leksykon zdobyć.

A więc stało się. I nie tyle z pośladkami (niech im tam będzie!), ile z moją nogą. A to z kolei odbywało się w moim nieprzyzwyczajonym do czegoś podobnego sercu wielkim dzwonieniem: bim-bam! bim-bam!

Wyszedłem na korytarz i na szczęście nie spotkałem nikogo. Zasapany, zdumiony, z sercem walącym już gdzieś w gardle, usiadłem w swoim pokoju przy oknie zwróconym na łajbowski sad.

Z początku miałem mgłę w oczach. Potem zaczęło się w nich przejaśniać i – zobaczyłem w sadzie to samo. I tam roiło się od erotycznego drzewostanu: co krok widniały pomalowane na biało pnie, niby gipsowe torsy. Ot tu – patrz, patrz, druhnio! – ten pień, co wystawia swój zad... „W pozie klasycznej dla kobyły!” – jak dodałby Dionizy Łajba, jeszcze inny brat Nity. A tam obok... te bursztynowe, zupełnie jak testes (trzeba spytać jakiegoś pana znającego łacinę, co to takiego, choć nie gwarantuję, co z tego może wyniknąć) renklody oraz już dojrzewające, doskonale antonówki, kształtem rywalizujące prawie z cy... chcę powiedzieć z kobiecym biustem.

Autor listu, który otrzymałem, widocznie wiedział, że lubię grzebać się w ziemi. Za krzakami czerwonych porzeczek ciemniała świeżo skopana przeze mnie grządka. Sugerował, abym wziął łopatę i ukrył forszę pod jakimś krzaczkiem. Prosta rzecz, nikt by tego nie zauważył, porzeczek rosły zbyt gęsto. Tylko... tylko po co? To właśnie wydawało mi się w anonimie czymś najbardziej zaskakującym i specjalnie cuchnącym. Czy nie chciał przypadkiem, by nie tylko powinęła mi się noga, lecz bym w ogóle babachnął się jak długi?

Nagle owionął mnie duch paniki. A może położyć banknoty z powrotem? „Głupstwo! skarciłem się. Żaden z nich, czyli z Łajbów, tak by nie postąpił, nie wahałby się ani nie czuł wyrzutów. Ale kto mógł anonim napisać, czy któryś z domowników. I skąd te kulfony?”

Jak zaczarowany patrzyłem na sad. Atoli renklody, porzeczek i jabłka widziałem już innym okiem.

Owszem, owszem, ogród jak zwykle pełen był źle wychowanych, nieprzystojnie zachowujących się pni-torsów, dzisiejszego rana jednak zalewała go na domiar wszystkiego amoralność. Amoralność rodziny Łajbów, do których sad należał i u których mieszkałem. Renklody i jabłka smakowały już nie tylko à la Adam i Ewa, lecz i à la Kain i Abel. Przy czym Kain był w ujęciu łajbowskim, to jest wysoce dyskretny, nadzwyczaj dobrze ułożony i snobistyczny.

Innymi słowy – żeby ułatwić czytelniczce – pod wpływem szoku przestałem wszędzie widzieć drewniane członki, choć, kobiece okrągłości (udające jabłka), uda a także inne podniecające rzeczy.

Widziałem natomiast same draństwa! Nawet więcej niż draństwa, bo zdolność literalnie do wszystkiego, co występne, a przynosi korzyść lub przyjemność. Nie wątpię, przynajmniej w tej wielce odkrywczej minucie, dziwnej a bezwstydney! że zżyta i zgrana, kochająca się rodzina Łajbów mogła w razie czego powyrzynać się wzajem.

Proszę zarazem nie zapominać, co miałem w kieszonce marynarki. Teraz, kiedy to odtwarzam, czuję się dość... tego... słowem, chętnie bym samego siebie przekreślił. Ale wówczas, wręcz przeciwnie, ani mi się śniło tego czynić. Doprawdy nadzwyczajna minuta! Choć Miarowiejowie nie posiadają żadnego herbu, ani z żaglami, ani bez, czułem się co najmniej tak, jak gdybym był półbaronem.

Gdyby ktoś mnie zapytał, co rozumiem pod słowem „amoralność”, odrzekłbym, że to brak pewnych uczuć, przysłonięty zawsze ich namiastką, imitacjami. Tkwi w tym zdolność, przypominająca skądinąd wielkich fałszerzy malarstwa bądź rzeźb.

Naturalnie bez odpowiedniej dawki sekretu i tajemniczości fałszerze nie mogliby egzystować. Dom nr 9 przy Kopernika miał przeto jakby dwie fasady. Pierwsza, jawna, była stateczna i utrzymana, powiedzieć można, w wiktoriańskim stylu. Właśnie w wiktoriańskim, mimo że dom zbudowano w Galicji rękoma architektów austriackich. Ale wpływy królowej Wiktorii docierały po trochu wszędzie (co tam wiedeńsko-krakowscy architekci!), nawet do rodów i rodzin polskich, choć nie znajdziesz o tym wzmianki w naszych podręcznikach.

Drugi fronton, ukryty i prawdziwszy, swym stylem sprawiłby każdemu nie byle jaką niespodziankę, nikt by nie uwierzył własnym oczom. Rzekłabyś, wznieśli go według swych planów nie tyle wymienieni a nieambitni budowniczkowie, co zawodowi szulerzy, alfonsi, szantażyści bądź ktoś wielokrotnie gorszy. I z tego powodu wszystko u Łajbów zahaczało ciągle o jakąś tajemnicę, o niedomówienie, wszystko tam było sfalszowane, podrobione. Podrobione jednak, podkreślam, niezwykle misternie, z wielkim kunsztem. Mieszkałem u nich już od półtora roku jako korepetytor. I właśnie to półtora roku zawiniło, że tak mi się powinęła noga...

A więc musiałem niby uczyć. Wszakże skończyło się na tym, że uczono właściwie mnie, i to nie przebierając pedagogicznych środków.

Najzabawniejsze: ja – nędzny nauczyciel! – jak się niebawem okaże, miałem także coś do ukrywania, swoją tajemnicę (oprócz dwóch setek w kieszonce i oprócz faktu, że cichcem pisałem wiersze). Tylko że zabawność sekretu – a datował się on od samego mego przyjazdu! – w gruncie rzeczy zabawną nie była i bawić mnie nie mogła. Niemniej z czasem pogodziłem się z własnym oszustwem, bo i tak tę tajemnicę można nazwać, i miałem go gdzieś w reetusie. Z czego wniosek, że jeszcze przed zamieszkaniem u Łajbów byłem co się zowie podatnym gruntem. I że czekałem tylko, aż spadnie na mnie pierwsze ziarno. I oto dziś spadło...

U Łajbów nazywano mnie Gogolem. Bardzo uprzejmie nawet bardzo dobrotliwie, acz z odcieniem współczucia i trochę tak, jakby z pagórka schodzono w dół. Któregoś bowiem dnia w czasie obiadu byłem tak nieostrożny, iż wspomniałem przy stole, że i Mikołaj Gogol żył niegdyś z lekcji udzielanych sztubakom... Natychmiast ugryzłem się w język. Szczęściem ten szczegół z biografii wielkiego pisarza jest tak mało znany, nawet slawistom, że uszło mi to na sucho.

Łajbowie bywali niekiedy śmiechliwi, w ich rodzinie w śmieszny sposób przekręcano imiona własne, przekręcano też nazwiska znajomych. Od tamtej pory pozostałem dla nich Gogolem i nie raz jeden zwracano się do mnie jako do pana Mikołaja. Gdyby połapali się, o co szło, wybuchłaby heca i wyleciałbym z ich domu nazajutrz.

Wyznaję, owszem, że swoją aluzją wystawiłem sobie marne świadectwo. Jednakże tak już byłem zgębiony, tak zmaltretowany przez mego małego ucznia!... Jako że najmłodszego z Łajbów, bo niespełna 14-letniego, również otaczał nimb sekretu. Do tej pory nie odróżniał

Piastów od Jagiellonów! o chronologii jakby nie słyszał, a co do arytmetyki, to chciało się płakać.

Czemu to? A bo ja wiem? Nic nie rozumiałem, gdy przyjechałem do miasta Ypsylon. Zobaczyłem rosłego, może zbyt rumianego chłopca, który głową sięgał mi po skroń, a mimo to nie wiedział, kiedy koronował się Bolesław Chrobry.

Musiałbym zapytać chlebobawców, co to oznacza, ale bałem się otworzyć usta. Łajbowie, ilekroć tego chcieli, umieli onieśmielać. Często samymi swymi gestami jeden człowiek zaczyna górować na innym. A Łajbowie mieli takich gestów bez liku. Więc po prostu wziąłem się do roboty.

– Bolesław Chrobry koronował się na króla polskiego w 1025 – powiedziałem – po nim panował Mieszko II do 1034 roku...

Ku memu zdumieniu bynajmniej nie miałem do czynienia z wałkoniem czy matolem. Dajmi (proszę zwrócić uwagę na to imię) bez trudu opanowywał daty i różnych królów, a co do arytmetyki, to po paru tygodniach rozwiązywał już wcale zawiłe a przegłupie zadania. Pamiętam, że w sumie jakiejś babie pozostało w koszu o 1/4 jaja mniej niż drugiej. Już myśleliśmy o algebrze. Aż nastąpiło lato.

Nie byłem jego piastunem. W zakresie mych obowiązków dreptanie za nim krok w krok nie leżało. Łajbom i w tym wypadku prawdopodobnie chodziło o gesty. Nie życzyli sobie, abym przekazał mu przypadkiem całą niedoskonałość swej gestykulacji towarzyskiej, równającej się, nie tylko w ich pojęciu, światopoglądowi i stanowiącej o czyjejś wyższości bądź niższości. Dla nich moje ruchy były zanadto pojednawcze, jeżeli nie proszące. Nie mówiąc o niezgrabności palców, która w tak kompromitujący sposób zdradzała moją duchową pospolitość.

Dość, że popołudnia i wieczory miałem wolne. Zaś Dajmi robił, co chciał. I oto, wróciwszy z popołudniowego seansu z kina, zauważyłem, że coś w domu u Łajbów się stało. Przed gankiem stała dorożka. Wszyscy chodzili na palcach i mieli bardzo charakterystyczne a niecodzienne miny. Jakby troszczyli się o coś, a jednocześnie z jakichś powodów jakby się wstydzili. Na korytarzu spotkałem staruszkę w okularach, który właśnie się żegnał i do którego mówiono „panie doktorze”. W czasie kolacji nakrycie Dajmiego zabrano, zanesiono mu jedzenie do łóżka. Nie zapytałem jednak o nic i udałem, że nie dostrzegam niczego. Tak było lepiej, o wiele lepiej. O ile ja uczyłem młodsze baroniątko, jak rozwiązywać zadania z dwiema niewiadomymi, o tyle starsi Łajbowie uczyli mnie, że takich zadań lepiej wcale nie ruszać i niewiadome pozostawiać niewiadomymi. Zresztą uczyli mnie samych paskudztw.

Wreszcie pokojowa, ta sama, którą opisywałem ze względu na jej wonność, raczyła mi się zwierzyć, że tego popołudnia panicz o mało nie utonął. Kąpał się w rzece, a właściwie w wąskiej a wartkiej rzeczulce, co na poły otaczając jedno z przedmieść, płynęła prawie za sadem. Pośliznął się na podwodnym kamieniu, stracił równowagę i zwałił się do wody na wznak.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI